ROK TRZECI.

—

№ 21.

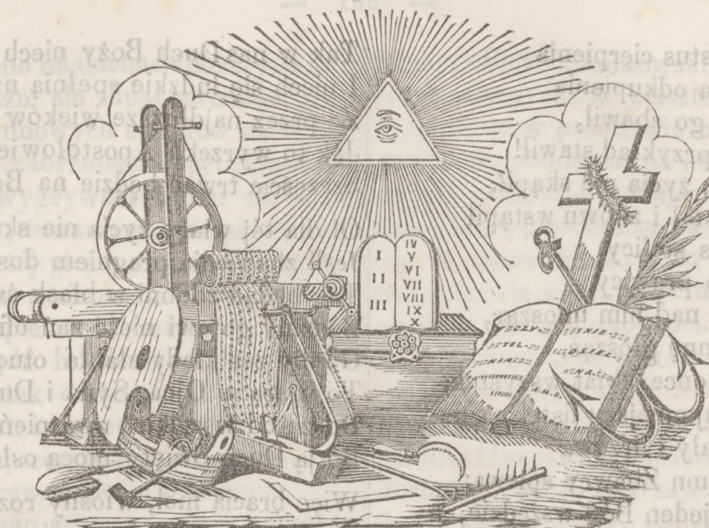
Warszawa

Dnia 11 (23) maja

1858.

Niedziela

zesłania Ducha Świętego.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś dnia dzisiejszego przez oświecenie Ducha świętego wyuczył serca wiernych, spraw, iżbyśmy z łaski tegoż Ducha w prawych rzeczach zasmakowali, a z Jego pocieszenia zawsze się weselili. (Kollekta na Uroczystość zesłania Ducha Świętego).

Zielone Świątki,

czyli zesłanie Ducha Świętego.

—

Witam was bracia! z wiosny rozwiciem
Chcę was orzeźwić majowem życiem,
I przynieść w darze pociechy słowa;
Chociaż odwieczne, prawda w nich nowa,
I zawsze świeża, zawsze urocza,
Bo myśl w niéj wielka, święta, prorocza,
Co zeszła do nas laty dawnemi,
I świeci życiu jak słońce ziemi.
Spójrzcie, jak niebo dziś się ubrało,
Jakby się z ziemią w jedność bratało,
A strojąc blaskiem lasy i wody,
Tyle nam w sercach wzbudza swobody,
Tyle uroku i szczęścia razem,
Jak gdyby wiary zgodnym wyrazem
Niebo i ziemia, przestworza całe
Głosiły Boga wszechmoc i chwałę.
Gdzie oko posłać, wiosna odziewa
Wody kryształem, a liściem drzewa,
Zewsząd się życie w pąki rozwija,
Woń z kwiatów jak myśl w niebo się wzbija.
Zda się, że dzisiaj przyroda cała,
Strojną jak w gody, szatę przywdziała.
Jak téj przyrody szata godowa
Płonie nam w odblask Boskiego słowa,
Tak niech nam do serc wstąpi otucha,
Bo dziś zesłanie Świętego Ducha.
Bóg to dziś szczęście dla nas porucza,
Jak o tem pismo święte naucza;
I my wdzięcznością serca przejęci,
Wzbudźmy je jeszcze dziś w swej pamięci:
Zkąd tego szczęścia powstał nam wątek,
I z jakich czasów wzięło początek.
Setne, tysiączne lata mijały,
A ludy świętéj prawdy nie znały;
Nie znając prawdy, w niezgodzie żyły,
I tylko martwe posągi czciły,
Nie czuły słońca wschodzącej wiary,
Nie pojmowały Boskiej ofiary,
Co zesłał Syna, by krzewiąc zgodę,
Miłości tylko pragnął w nagrodę,
By nienawiści znikła pokusa.
Dawszy Mu imię święte Chrystusa,
Rzekł: z Jego przyjściem zawiść się kończy,
Bo chrztem miłości lud się mój złączy.

O! jakże srogie Chrystus cierpienia
Poniósł na krzyżu dla odkupienia
Rodu ludzkiego, aby go zbawił,
By mu swe życie za przykład stawił!
Jak za lud krwi swéj, życia nie skąpił,
Jak zmartwych powstał i znowu wstąpił
Do Boga Ojca niebios stolicy,
I obok Niego siadł po prawicy,
Gdzie Duch się Boży nad nim unosząc,
A chór aniołów hosannę głosząc,
Księżyc i gwiazdy, słońce, świat wszystek,
Ziarneczko piasku, najmniejszy listek,
Człowiek i robak, skały i drzewa
U stóp się ścieląc, hymn Zbawcy śpiewa:
Że w trzech osobach jeden Bóg wszędzie,
W niebie, na ziemi, królować będzie.

A więc tę prawdę Święty Duch Boży,
Dziś zesłan w blasku porannej zorzy,
Do Apostołów serc wiarą czystych
W kształcie języków przelał ognistych;
Tak ich spromienił jasnością swoją,
Potęgą słowa, miłości zbroją,
Że wszelką mądrość od Ducha wzięli,
I szli z nią jak świat długi, szeroki
Głosić téj świętéj wiary wyroki,
Rozkrzewiać Zbawcy naukę prawdy,
Aby jak bracia kochać się zawdy,
Nie żądać z krzywdą dobra bliźniego,
Boć wszyscy dziećmi Ojca jednego;
Czy spotka radość, czy dotknie trwoga,
Jednego tylko uwielbiać Boga!
Bo On jest Stwórcą nieba i ziemi,
Opiekę, miłość ma nad wszystkiemi.
Bo On jest Jeden zawsze i wszędzie
I z nieba zstąpi, sądzić nas będzie,
I za nas rany, sądząc, przedstawi,
Grzesznych pokarze, cnotliwych zbawi.
Oby ta wiara zgodę szerzyła,
Jak słońce ziemi życiu świeciła!

Taką naukę Boskiego słowa
Wyznaje prawie świata połowa,
Skarbi ją w duszy, skarbi w pamięci,
I uroczystość Ducha dziś święci.
A więc niech w sercach naszych zostanie,
Że dziś Świętego Ducha zesłanie,
Że dziś nas wiara święta krzepiła,
Przez którą miłość w ludy zstąpiła.
Gdy świat się z wiosną życiem odradza,
Niech się i nasze serce odmładza,
A jak maj życie wszędzie rozlewa,
Tak w nas Duch Boży niech myśl rozgrzewa,
I niech się ludzkie spełnią nadzieje,
Że przez najdłuższe wieków koleje,
Jak to wyrzekli Apostołowie,
Szczęście trwać będzie na Bożem słowie.

O! dla téj wiary życia nie skąpić,
Jeśli zbawienia pragniem dostąpić;
Tak będąc zdobni w blask świętéj wiary,
Bądźmy gotowi nieść zań ofiary.
Gdyby zaś kiedy słabła otucha,
To wiara w Ojca, Syna i Ducha
Duszę od wszelkich zwątpień ochroni,
Bo ją Duch Święty mocą osłoni.

Więc bracia moi, wiosny rozwicie
Niech was orzeźwi w majowe życie,
Bo pieśń ma głosi pociechy słowa,
Co choć odwieczne, prawda w nich nowa.

Pokój z obrazkami.

II.

(Dokończenie, patrz nr. 20 Czytelni).

—

Otóż widzicie moje chłopcy, (mówił pan Dąbrowa po chwilowym przestanku), drugi obrazek, jak szwedy szturmują do świętego grodu, jak cały kościół objęły płomienie i dymy czarne. To Ksiądz Kordecki kazał zapalić drewniane budowle i stogi siana, ażeby się za nie nieprzyjaciel nie zakradł. Oto w obozie szwedzkim widzicie żołnierza popolsku ubranego; trzymał on z nimi, chciwiec, rad był złupić święty kościół. Gdy się chlubił, że pójdzie pierwszy do szturmu...ot pierwsza klasztorna kula na poły go rozszarpała. Jenerał szwedzki wystrzelawszy dużo kul daremnie, zaczął posłów wyprawiać z namowami poddania. Ksiądz Kordecki grzecznie ich przyjmował, zbywał różnemi pozorami, a gotował się do coraz większej obrony. Nadeszła niedziela i święto ofiarowania Najświętszej Panny. Po zwykłych ceremoniach kościelnych obniesiono znów Przenajświętszy Sakrament dokoła murów, jak niegdyś Izraelici obnosili *Arkę przymierza* dla postrachu Filistynów.

Rozgniewany swedzki jenerał oporem, podsunął pięć bateryj z moździerzami, zapowiadając, że w gruzy zamieni kościół Częstochowski. Zagrzmiały wszystkie bateryе, ale mury wytrzy–

mały ciosy; pogaszono na dachach pożary, a huk straszliwy, nie bojaźń, ale zapał obrońców podnosi. Wpośród piorunowych strzałów na wysokiéj wieży kościoła zabrzmiała kapela klasztorna, i cały szturm wygrywała hymn na cześć Najświętszéj Panny, towarzyszony śpiewem oblężonych. Odgłos téj pieśni uroczystej zagrzewa serca wiernych, a nieprzyjaciel sądząc, że mu najgrawają się śpiewami, rozżera się i wścieka daremnie. Ksiądz Kordecki widząc wielki wpływ muzyki, co tak dodawała ducha wojującym, a dla słabych i kobiet tłumiła huk strzałów i jęk ranionych, rozkazał codziennie z téj samej wieży przygrywać pieśni pobożne.

Dwa dni zaciekłego szturmu, gdy pokazały się bezskuteczne, nie dano spokoju i w nocy. Celowali szwedzi na dach klasztoru, chcąc go zapalić, ale daremne były ich usiłowania. Kule, które dosięgły kościoła, nie szkodziły; jedna odbita od komina, potoczyła się do kolebki śpiącego dziecięcia i bez jego obrazy w kącie komnaty przy murze legła.

Ośmieleni pomyślnym oporem szlachta i żołnierze zamknięci w twierdzy, zważając, że szwedzi zbyt ufni w swą potęgę, śpią bez czat i ostrożności, umyślili nocną wycieczkę. Stanął na czele hufca ochotników śmiałych Piotr Czarniecki krewniak wielkiego Stefana Czarnieckiego, mąż, któremu wiele winna Częstochowa, bo on był jednym z najwaleczniejszych jéj obrońców. Wybrano noc ciemną, kryjomą furtką wyszedł szczupły oddział, ufny w pomoc Bożą, z szablą tylko a spisą w ręku. Jedni uderzyli zboku, drudzy ztyłu na dane hasło, z okrzykiem wielkim. Popłoch odrazu ogromny powstał między szwedami. Dowódzca artylleryi padł zabity i wielu ze starszyzny; inżynier główny de Fossis przyjaciel Wejharda, zginął, Czarniecki hrabiemu Horn zadał w piersi śmiertelną ranę. Zginęło mnóstwo żołnierzy szwedzkich, bo gdy w trwodze uciekali, a z bateryj dawano ognia, od własnych kul padali. Dwa wielkie działa zagwożdżono i szczęśliwie do klasztoru wrócił hufiec śmiałych obrońców. Przerażeni szwedzi tym napadem odstąpili więcej od murów klasztornych; jenerał Müller wysłał do Krakowa po wielkie burzące działa, po długich rokowaniach z zakonnikami, którzy jak mogli, zwlekali stanowczą odpowiedź, pewni, że Bóg ześle niespodziewaną jaką pomoc.

Jakoż d. 7 grudnia, w wigilję do Najświętszéj Panny, Piotr Sładkowski podstoli Rawski, ożywił wiernych w klasztorze błogą nadzieją. Przybył on w poselstwie od szwedów, aby namawiał do poddania; na ucho szepnął, że chorągwie polskie trzymające stronę za królem szwedzkim, przechodzą na stronę Jana Kazimierza, że oburzenie w całym kraju przeciw szwedom objawia się silne, że monarcha opuszczony wkrótce do kraju powróci. Zakonnicy na zwłoce tylko zyskać mogą i doczekać się odsieczy. Nazajutrz w sam dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, korzystając z mgły ciemnej Hyacynt Brzuchański mieszczanin Częstochowski przebrany za żołnierza, wdrapawszy się na wał twierdzy, doniósł, że z Krakowa dla rozbijania murów klasztornych ciągnie sześć dział burzących i 1200 piechoty, a w pomoc Janowi Kazimierzowi spodziewają się wielkiej liczby tatarów. To prędko wyrzekłszy, zręcznie wrzucił na mury listy i sam w cieniach mgły zniknął. Były to listy z konwentu Krakowskiego od ojca Antoniego Paszkowskiego, w których opisując szwedzkie gwałty i łupieże, do dzielnej zagrzewał obrony.

Nie ustawały strzelania z dział, oczekiwano w obozie szwedzkim na idące z Krakowa owe burzące moździerze. Te tak tajemnie podsuniono pod mury, że załoga ich nie spostrzegła, i gdy o jutrzni zabrzmiał śpiew pobożny na chórze, zatrząsł się klasztor od huku tych dział straszliwych. Gradem kul zasypany został klasztor, a śród szturmu odśpiewano suplikacye przed Najświętszym Sakramentem, z którym gdy wyszła processya, poczęły się na nią sypać-ogromne złomy murów i kule kilkudziesięcio-funtowe przelatać nad głowami. Nikt przecie nie ruszył z miejsca, póki się nabożeństwo nie skończyło; szkody w murach łatwo naprawiono.

Wieści znów niepokojające doszły uszu oblężonych. Załoga szemrać zaczęła, zakonnicy sami znużeni nieustanną pracą na murach, upadli na duchu. Powstał wtedy Kordecki, zgromił ten brak wiary i nadziei i nanowo pokrzepił serca wszystkich ufnością w pomoc Bożą.

Przekonawszy się jenerał szwedzki Müller, że klasztor na twardej stoi opoce i podkopać się trudno, sprowadził górników z Olkusza, aby skałę łamali. Popłoch był wielki w obrońcach, ale go uspokoił Kordecki zeswymi zakonnikami. Stefan Zamojski miecznik Sieradzki, mąż odznaczający się w obronie Częstochowy, w samo po-

łudnie 20 grudnia wyruszył z wycieczką, uderzył na straż, rozbił ją, górnicy padli zabici, dwa zagwożdżono działa, i ze zdobyczą wrócono szczęśliwie.

Szwedzi ostatni cios przygotowywali najstraszniejszy ze wszystkich, chcieli skończyć jednym silnym szturmem, bo zima dokuczać zaczęła źle odzianemu żołnierzowi. W nocy rozpalali sobie wielkie ogniska dla rozgrzania, ale gdy z tego korzystali oblężeni, biorąc je za cel swoich strzałów, szwedzi musieli pogasić je i marznąć na śniegu.

Wspomniany mieszczanin Brzuchański przebrany za żołnierza podjechał pod mury klasztorne i rzucił worek z rybami, a w nim list donoszący, że téj nocy szwedy uderzą, że straszne czynią przygotowania, że widział drabiny, machiny do murów, belki sękate, granaty i kule przysposobione.

Dzielny ten mieszczanin Częstochowski schwytany, wytrzymał męki, i skazany został na śmierć. Pewny ostatniéj godziny życia, gdy się Bogu i Najświętszéj Pannie poleca, oswobodzony przez sędziów za okupem wróciwszy do domu, długą chorobą odleżał zadane męczarnie.

Wiadomość ta, postrach wielki rzuciła na załogę; wtedy Kordecki, wsparty starszymi w zakonie, podniósł wymową nanowo ducha: Nie łammy poprzysiężonej królowi wiary, ufajmy Bogu i opiece Naświętszej Matki Jego, opiekunce tego miejsca. Słowa te odtąd były hasłem wszystkich.

Przed szturmem zamierzonym, nowy list od jenerała Müllera otrzymał Kordecki w treści jednej jak zawsze, o poddanie twierdzy. Na radzie zebranej, aby nową zwłokę zyskać, postanowiono odpisać, że zanim podadzą warunki poddania, proszą, aby im dał spokojnie i swobodnie obchodzić uroczystość Narodzenia Pańskiego. Ale nie było kogo wysłać do obozu Szwedzkiego, dwaj zakonnicy bowiem wysłani dawniej doznali urągowisk, obelg i niewoli. Aż nadarzyła się starucha baba, żebraczka Konstancya, mieszkająca w budzie przy wałach, która za małą nagrodę podpalała domy przeszkadzające zakonnikom. Kule nieprzyjacielskie, obłamy murów w fossę padające, drzewo na wałach leżące znosiła, i wcale się o latające kule nie troszcząc, sprzedawała jaką gdzie chwyciła żywność oblężonym, oraz pomagała, w czem mogła. Ta za kawałek chleba poszła nocą do obozu, ze śmiechem przyjęta od szwedów, pod strażą stawiona przed jenerała, list mu oddała, na który wręczono jéj odpowiedź. Pismo, które przyniosła, było od hr. Wejharda, zaklinające zakonników do poddania, gdyż na przypadek oporu, gruzy tylko zostaną z klasztoru Częstochowskiego.

Równocześnie przybyła wiadomość, że król Jan Kazimierz już jest w Żywcu w granicach swego państwa, i oczekuje wielkich posiłków tatarskich.

Była to noc wigilii Bożego Narodzenia. Zakonnicy spędzili ją całą bezsennie. W białych habitach, jak anioły-stróże świętego grodu, jedni dodawali otuchy gotowéj do walki załodze, drudzy stali u dział na posterunkach ważniejszych, reszta modliła się w kościele i oczekiwała Mszy pasterskiéj.

A w obozie szwedzkim ruch niezwykły, ogniska gęste dymem i jasnym płomieniem wokoło buchały. Odprawiono nabożeństwo spokojnie; o samém południu, od północy zaryczały ogromne działa. Zadrżał gród święty na skalistéj posadzie swojéj, zadrżały mury dotąd niezłomne, pod ciosami gęstych strzałów i bomb ogromnych, szczerbiły się pod niemi, a ściany kościelne i klasztorne podziurawiły, gruzem, pyłem, kurzawą i dymem napełniając korytarze budowy.

W rozwalonych murach pokazał się wyłom; tam stanął Kordecki z krzyżem w ręku, obok bohaterski Piotr Czarniecki, z drugiéj strony straż trzymał Stefan Zamojski, a wszędzie przy działach i na murach zakonnicy ze szczupłą załogą i szlachtą. Ogniste kule z zażegniętemi smolnemi sznury, jak węże płomieniste leciały na dachy, granaty padające gradem, rozpękiwały się po dworcach, po dziedzińcach, napełniając dymem, kurzawą, oraz przerażającym grzmotem i trzaskiem całą twierdzę.

Dzień ów był dla tego grodu, jakby dniem ostatecznego sądu. Huk armat łączył się z odgłosem trąb i surm wojennych, zmieszany z głuchém brzmieniem bębnów piechoty, a wściekłym okrzykiem pnącego się po drabinach zajadłego żołdactwa, z jękiem rannych i konających.

A na murach Częstochowy poważne milczenie i tylko szept cichy, którym wydawano rozkazy. Każdy na miejscu wykonywał powinność swoję. Spychano z drabin pnących się na mury, zrzucano kłody i kamienie, trupy szwedów usłały już grubo fossy głębokie. A na wieży ko-

ścielnej brzmi kapela radosną pieśnią to o Narodzeniu Chrystusa Pana, to na cześć i chwałę Boga-rodzicy.

Szturm trwał do nocy, jedno działo szwedzkie najwięcéj klasztorowi szkodzące, rozsadzone ze straszliwym hukiem, pękło; poczem wszystkie bateryе szwedzkie umilkły.

Jenerał Müller, po daremnym szturmie przysłał list, żądając albo 60,000 talarów haraczu i złożenia przysięgi królowi szwedzkiemu, albo bezzwłocznego poddania fortecy.

Kordecki wedle zwyczaju u nas dawania kolendy, posłał Konstancyą żebraczkę z odpisem pełnym łagodności, i zamiast 60,000 talarów, książeczki połacinie i poniemiecku o cudach obrazu i kilka wyobrażeń N. Panny Częstochowskiéj, jakby odpowiedź na groźby znaczącą: *Ona nas obroni.* W liście tym tłumaczył się, że zubożony klasztor wojną, nic dać nie może, i poddaństwa królowi szwedzkiemu nie zaprzysięże.

W dzień świętego Szczepana, który w twierdzy Częstochowskiéj obchodzono uroczyście, muzyka chodziła, kolendując i wystrzałami uczczono święto. Od starszego szli muzycy kolendować kolejno wszystkim ze szlachty, artylerya wałowa obchodząc dzień świętego Męczennika, święciła zarazem imieniny Stefana Zamojskiego i syna jego, gęsto dając ognia na wiwat. Te wystrzały ustawne i długie wielce przestraszały szwedów i rozpędzały z zajmowanych stanowisk; muzyka wesoła połączona ze śpiewami wtórzyła ciągle hukowi armat klasztornych.

Polacy w obozie nieprzyjacielskim będący wytłumaczyli im te odgłosy radosne. Szwedzi wielce się dziwili ogromnym zapasom ammunicyi i téj śmiałéj ochocie oblężonych.

Noc pogodna zajaśniała, głuchy tętent z początku wyraźny, cichnął coraz i znikł o świcie. Jenerał Müller zmęczony daremnym bojem, zimą przykrą naciśnięty, działa z bateryj zdjąć kazał, i całym korpusem dziesięcio-tysięcznym, cofnął się w najgłębszem milczeniu pod zasłoną zmroku nocnego.

Jakiż to był, moje chłopcy, kończąc swe opowiadanie, mówił P. Dąbrowa, jakiż to był radosny poranek dla oblężonych ten dzień drugi Bożego Narodzenia, gdy z murów nie dojrzeli ani jednego żołnierza szwedzkiego, obóz puściuteńki, baterye opuszczone—otwarto zaryglowane tak długo bramy i wrota, i odetchniono świeżem powietrzem.

Solenne odprawiono nabożeństwo, a kapela klasztorna z wieży kościelnéj radosną pieśnią zabrzmiała, któréj wtórowali oblężeni z wielkim płaczem radości, dziękując Bogu i Boga-rodzicy za cudowne ocalenie świętego grodu. Bo też to był cud zaprawdę; broniło Częstochowy siedmdziesięciu tylko zakonników, pięciu szlachty z garścią domowników, i 160 załogi pieszéj, pomiędzy którymi większa część była wieśniaków od roli.

A jakaż to była wielka radość w całym narodzie! Nieszczęśliwy Jan Kazimierz dowiedziawszy się o obronie Częstochowy, oddał kraj cały pod opiekę *Boga-rodzicy*. Szlachta i wojsko, co trzymało z królem szwedzkim, przeszło na stronę swego monarchy, i tegoż samego roku, ów dumny Karol Gustaw, co w kapeluszu na głowie obchodził z pychą groby królów polskich w Krakowie na Wawelu, pobity na różnych stronach, cofał się ku morzu Baltyckiemu, a pędzony trwogą i zwycięzką szablą polaków, niedługo wsiadł na okręty i ledwie uszedł do własnego kraju. Król Jan Kazimierz odebrał Kraków i Warszawę, i spokojnie znów zasiadł na tronie Jagiellońskim.

Licytacya na Starem-Mieście.

(Obrazek miejscowy).

Byłoto wkrótce po Nowym-Roku; ranek był mroźny tak, iż pomimo jaskrawego słońca, przekupki na Starem-mieście zacierały ręce i chuchały w palce, ażeby je rozgrzać. Na środku rynku niedaleko wodotrysku, ozdobionego godłem miasta, *syreną* wznoszącą miecz do cięcia, zebrała się liczna gromada ludzi, gapiąc się na odbywającą się pod gołem niebem publiczną sprzedaż ubogich ruchomości i sprzętów rzemieślniczych. Jakaś kobieta młoda jeszcze, biednie odziana, ze łzami w oczach siedziała na pieńku, tuląc do piersi dziecię, co się do niéj wdzięcznie uśmiechało. W téj chwili pan K. artysta malarz przechodził przez rynek, a spostrzegłszy niezwykłe zebranie, skierował mimowolnie swe kroki ku miejscu, w którem się sprzedaż odbywała. Smutek rozlany w twarzy siedzącéj kobiety, łzy błyszczące w jéj oczach, zwróciły jego uwagę i natchnęły go współczu-

ciem; zbliżył się więc ku niéj i dla zawiązania rozmowy zapytał o powód zbiegowiska.

—Ach panie! odrzekła biedna kobieta, moje to ubogie graty licytują za zaległe komorne i to jest przyczyną tego licznego, jak pan widzisz, zebrania. Mąż mój był stolarzem; dopóki mógł pracować, nie zbywało nam na niczem, a chociaż nie było zbytku, to wszakże praca jego starczyła na wszelkie potrzeby, niejeden nawet grosz odłożył się do skrzynki na jaki wypadek. Przed rokiem wszakże ciężko zaniemógł, z jego chorobą ustała praca, a z nią i zarobek; grosz oszczędzony poprzednio ubywał codziennie, to na życie, to na aptekę i doktora, a mimo ponoszonych wydatków, zdrowie jego nie polepszało się. Próbował on kilkokrotnie sił swoich, zwlekł się był raz nawet do warsztatu, ale siły go zdradziły i z jękiem powrócił na łóżko, z którego już nie powstał. We dwa tygodnie potem zwłoki jego spoczęły na cmentarzu Powązkowskim, a ja za powrotem z pogrzebu ujrzałam się sama jedna, sierota na szerokim świecie, z dziecięciem, jedyną spuścizną, jaka mi pozostała. Tu biedaczka zalała się łzami, a malarz wzruszony do głębi serca tem opowiadaniem, i cóż się daléj stało? zapytał z zajęciem.

—A cóż panie?—ponieważ mieszkanie, któreśmy zajmowali, było dla mnie saméj za drogie i niepotrzebne, najęłam więc w tym samym domu małą izdebkę na poddaszu za 400 złotych rocznie; wyobraź pan sobie 400 złotych za jednę klitkę, ale że nie miałam na kwartalne, a przytem że pozostaliśmy dłużni nieco i z poprzedniego komornego, byłam więc na łasce gospodarza, i zgodzić się musiałam na cenę, jaką mu się nałożyć podobało. Zima nadchodziła; na życie, opał i zaległe komorne zastawiłam warsztat i sprzedałam niektóre mniej konieczne sprzęty, fundusz ten wszakże nie wystarczył na długo. Najmowałam się przytem do prania i innych robót, pozostawiając dziecko u sąsiadki, ale zarobek mój wystarczał zaledwie na nędzne wyżywienie; tymczasem gospodarz, że mu komorne za pół roku zaległo, zatradował resztę pozostałych mi rzeczy, a ja z dziecięciem ujrzałam się bez dachu i bez grosza, na gołym bruku, wśród ostréj zimy. Cóż ja teraz pocznę biedna sierota! i nowy strumień łez oblał twarz nieszczęśliwéj.

— Zaufaj Bogu, a Bóg cię nie opuści, zawołał z zapałem malarz—powiedz mi, jak się nazywa twój gospodarz?

— Oto on, rzekła biedna wdowa, ukazując palcem mężczyznę dobrej tuszy, z wystającemi policzkami, nosem krótkim i zadartym i wywiniętą dolną wargą, z wyrazem twarzy niemiłym zdradzającym wschodnie pochodzenie. Ubiór jego wskazywał spanoszonego dorobkowicza; uśmiechał się on sam do siebie, rzucając okiem na odbywającą się licytacyę, jakby zadowolniony z jéj biegu i ze swojego dzieła.

Pan K. we wskazanej osobie poznał p. Markusa G. znanego spekulanta, co się dobił znakomitej fortuny drogą obrzydłego lichwiarstwa, co z przezornością i zręcznością pająka osnuwał w swoje sieci niedoświadczoną młodzież i wysysał z niéj krwawo zapracowany grosz rodzicielski, popychając ją do zbytków, rozpusty, a nieraz do występku i niesławy. Więc pojął to dobrze, iż odezwać się do serca podobnego człowieka, aby obudzić w nim współczucie, byłoby to samo, co mówić do głuchego.

W szlachetnej duszy artysty, co siłą talentu, niezłomnej woli i niezmordowanej pracy zdobył sławę, tkwi zawsze mimowolna pogarda i nienawiść dla wszystkiego, co jest nikczemnem i podłem. Podobne też uczucia zawrzały w sercu pana K. na widok tego oszustwa, głupoty i zarozumienia. Chęć zemsty powstała wnet w jego umyśle, wraz z żądzą stania się zarazem pomocnym prześladownej kobiecie. W tym celu zbliżył się ku miejscu licytacyi, gdy głos woźnego oznajmił sprzedaż obrazu.

Była to dosyć licha bazgranina, mocno zczerniała, służąca niegdyś stolarce do zasłaniania w lecie dziury zrobionéj w ścianie do rury żelaznego piecyka.

— Czterdzieści groszy za obraz, zawołał woźny.

Pan K. znalazł, czego szukał. Kazał sobie podać obraz, obejrzał go z troskliwą skrupulatnością znawcy znajdującego arcydzieło, podał go następnie woźnemu, i rzekł dobitnie:

— Sto złotych.

Na tę cyfrę pan Markus podskoczył. Spekulując zawsze i wszędzie, pomyślał, iż kiedy malarz tak reputowany jak pan K. ofiarował 100 złotych za ten obraz, to musi być on wart najmniéj dwa razy tyle; zawołał więc żywo:

— Dwa sta złotych.

— Pięć set, rzekł malarz.

— Sześć set, zawołał znowu spekulant.

— Tysiąc... wyrzekł spokojnie malarz.

Zaciekłość, jaką okazywał pan K., utwierdziła tem bardziéj właściciela w przekonaniu o wysokiéj wartości malowidła, o które się tak upornie dobijał; nie chciał więc wypuścić z rąk podobnie dobrego interesu, a nadto miał sobie za punkt honoru, nie dać się zwalczyć artyście na polu pieniężnem, na którem się tyle wyższym czuł od niego. Przybierając więc postawę majestatyczną, i dopókiż pan będziesz, rzekł, nadwirężycz naszą czerpływoszcz!... Słuchaj ty woźny, wołaj półtora tysząców...

Obejrzał się gniewnie obrażony woźny na tę odezwę, ale spełniając swój obowiązek, powtórzył:

— Tysiąc pięćset złotych, po raz!..,

— Dwa tysiące przerwał malarz,

— Dwa tyszące dwieszcie,... ponowił spekulant.

Pomiędzy widzami téj walki panowało głębokie milczenie. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku panu K., którego twarz poważna dotąd, uśmiechała się z wyrazem złośliwéj radości.

— Dwa tysiące dwieście złotych, powtórzył woźny, po raz... po drugi... nie daje nikt więcéj?...i po trzeci—przybito dla pana Markusa.

Pan G. zbliżył się wtedy ku malarzowi.

— Panie, rzekł, nie mam wcale pretensyi być znawcą malarstwa.

— Nie masz pan potrzeby mówić mi tego, odrzekł pan K.

Lecz ciągnął daléj spekulant: widząc tak znakomitego artystę jak pan, dobijającego się uszylnie o nabycie tego obrazu, osądziłem zaraz, iż jest to dzieło wysokiéj wartości. Ile też go pan dobrodziéj oceniasz?

— Wart jest około czterech złotych, rzekł malarz, uśmiechając się... a ja nawet nie dałbym tyle panu za niego.

— Pan chyba żartujesz? panie, zawołał zaczerwieniony spekulant.

— Bynajmniéj.

— A sam pan dawałeś za niego dwa tysiące?

— To prawda, odrzekł pan K. przybierając wyraz twarzy poważny i surowy i powiem panu zaraz dlaczego?... Pan, który masz kilkadziesiąt tysięcy rocznej intraty, kazałeś bez litości zatradować i sprzedać ruchomości biednej wdowy, za nędzną należność 200 złotych, które ci była dłużną—ja więc postanowiłem dać panu nauczkę... prawda, że mogłem był sam się złapać w własne sieci, ale dzięki Bogu, mam dosyć filozofii, ażeby się pocieszyć po stracie dwóch tysięcy złotych, użytych zwłaszcza na dobry uczynek. Twój duch spekulacyjny i próżność twoja, na które liczyłem, posłużyły mi wybornie, i rzuciły cię naoślep w sidła, którem zastawił, Opatrzność reszty dokonała. Położenie rzeczy zmieniło się teraz: z wierzyciela stałeś się pan dłużnikiem téj biednéj kobiety i sądzę, że nie dopuścisz, ażeby dla pozyskania swéj należności, była zmuszoną kazać ci sprzęty zatradować. Dwa tysiące dwieście złotych, za tę bazgraninę, to nieco przydrogo, przyznaję; ale licząc na pański talent spekulacyjny, jestem pewny, że ją w cenie dwakroć wyższej wciśniesz jakiemu nierozważnemu młodzieńcowi, co będzie miał nieszczęście przyjść do pana pożyczyć pieniędzy.

I pan K. uchylając z wdziękiem kapelusz przed ogałuszonym spekulantem, oddalił się, objaśniwszy biedną wdowę o stanie rzeczy i udzieliwszy jéj kilka zbawiennych rad, co do sposobu użycia drobnej fortuny, jaką dla niéj pozyskał, unosząc z sobą wewnętrzne zadowolenie z dobrego uczynku wraz z błogosławieństwami ocalonej od nędzy, kobiety.

Niezapominajki.

W pogodny dzień majowy nauczyciel wiejski zaprowadził swych uczniów na piękną łąkę, przez którą przepływał strumyk. Łąka okryta była mnóstwem ślicznych kwiatów, ze wszystkich jednak jeden najbardziéj im się podobał. Kochany panie nauczycielu! zawołały dzieci, jak się nazywają te miluchne kwiateczki, które czystą swoją niebieską barwą, jak niebo wypogodzone nad brzegami strumyka jaśnieją? Zowią się, odpowiedział nauczyciel *Niezapominajki.* O! nie zapomnimy o tobie śliczny kwiateczku, wykrzyknęły dzieci radośnie. Potem zapytały ciekawie: a któż to mu tak piękne nadał imie? Nauczyciel chcąc zaspokoić ciekawość dzieci, opowiedział im następujące zdarzenie:

Dwóch pobożnych i cnotliwych młodzieńców zawarli z sobą stałą przyjaźń; jeden bez drugie-

go prawie żyć nie mógł, tak się wzajemnie kochali. Adaś i Józio były imiona tych młodzieńców—nie myśleli oni wcale o tem, że kiedyś rozłączyć się muszą. Ale tak się wkrótce stało: jednego z nich Adasia wezwał stryj do odległego miasta, aby tam nabrał wyższych nauk i wiadomości. Oba przyjaciele niezmiernie się zasmucili tą nowiną i ostatnie jeszcze dni, które im do wyjazdu Adasia pozostały, zwykle razem z sobą przepędzali. W wilją wyjazdu poszli oba na łąkę i tam w obliczu nieba potwierdzili swoję przyjaźń. Gdy tak nad brzegiem czystego strumyka stojąc, serdecznie płakali, i wzajemnie sobie przyrzekali, że jeden drugiego w całem życiu swojem nie zapomni, Adaś zerwał kilka takich kwiateczków nad strumykiem rosnących, podał je przyjacielowi i rzekł:

— Nie zapominaj o mnie.

Józio schował te kwiatki, szanował je nawet wtenczas, gdy już zwiędły, a od tego czasu nazwali te piękne niebieskie kwiatki *Niezapominajkami.*

Dzieci z największą uwagą przysłuchiwały się opowiadaniu nauczyciela. Gdy skończył, każde z nich urwało wiązeczkę tych kwiatków, a podając ją jedno drugiemu, rzekło: *Nie zapominaj mnie.*

Piękne wspomnienie o tym kwiatku zostawił nam jeden z tegoczesnych poetów w legendzie, pod tytułem:

Niezapominajki.

Mój Boże, mama tak chora,
Mówił siostrom Henryk mały,
Cały dzień jęczała wczora;
Wtem łezki twarz mu zalały.
Już się kończy tydzień trzeci,
Jak leży mama kochana.
Ach! nie płaczcie, moje dzieci,
Rzekła do mnie dzisiaj zrana.
Ja się bardziéj rozpłakałem,
Aż mnie mama uściskała;
Długo przy łóżku jéj stałem,
Wreszcie odejść mi kazała.
Idź, rzekła kochane dziecię,
Zobacz, gdzie są siostry twoje;
Niechaj do mnie przyjdą przecie,
Niech zatrzymają łzy swoje.
Czy dzisiaj, lepiéj ci mamo,
Żeś płakać nie pozwoliła?
Nie, drogie dziecię, tak samo,
I twarz chustką zasłoniła.
Wyszedłem z płaczem od mamy,
Krzyczę: siostry! mama woła;
Biegnę, widzę je u tamy,
Zkądże idziecie?—z kościoła.
Dawno na was mama czeka,
Biegnijcie więc całą siłą,
Lecz niech żadne nie narzeka,
Bo przykroby mamie było.
Ja pójdę na mszę, by mamę
Bóg dobry uzdrowić raczył;
Poszedł i bieżąc przez tamę,
Kwiatki pamięci zobaczył.
Ach! słyszałem to od matki,
Pomyślał chłopczyna sobie:
Ten, któremu dasz te kwiatki,
Będzie pamiętał o tobie.
Więc ja na ołtarzu złożę
Wieniec z tych kwiateczków mały;
Nie zapomnisz o nas Boże!
Zawołał głośno w łzach cały.
A ponad rowem schylony,
Rwie chciwie dwiema rączkami;
Łzą jest powtórnie zroszony
Każdy kwiatek i z listkami.
Biegnie chłopczyna zdyszana,
Bramę zastał odemkniętą;
Bo kapłan tajemnic Pana
Odprawiał ofiarę Świętą.
Na kolana Henryś pada,
Oczęta ku niebu wznosi,
Rączyny drobniuchne składa,
I o zdrowie mamy prosi.
Całuje krzyża podnoże,
Skromnie je kwiatkami stroi:
Przyjm mówi, te kwiatki, Boże!
Pamiętaj o prośbie mojej.
Z łatwością Boga przenika
Łza niewinności z prostotą;
Wejrzał na modły Henryka,
Nie uczynił go sierotą.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 5 (17) maja 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*